

Pismo

MAGAZYN OPINII

MARZEC 2019 | NR 3(15)



STUDIUM

To nie jest kraj dla małych ludzi

WOKÓŁ KSIĄŻEK

Kuba Wojewódzki. Król jest nagi?



Z PISMEM U...

Timothy'ego Snydera

ESEJ ŚWIAT

Jemen umiera z głodu

CENA: 14,99 zł (w tym 8% VAT)

ISSN 2544-5022 INDEKS 422258

03>

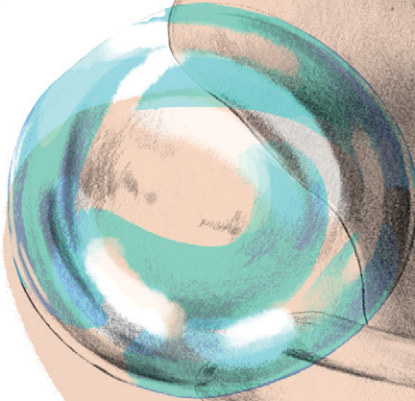


9 772544 502906

MAGAZYN OPINII

Pismo

MARZEC 2019 | NR 3(15)



MAGAZYN OPINII Pismo.

MARZEC 2019

OPOWIADANIE

Kugelhopf | 4
LILIANA HERMETZ

RZECZ GUSTU

Redakcja poleca | 23
wydarzenia kulturalne w marcu

APTECZKA

Co w niej trzyma... | 96
WOJCIECH KALARUS

POEZJA

There's a certain Slant of light (258) | 66
EMILY DICKINSON

258 | 67
JACEK DEHNEL

258 | 67
SZYMON ŻUCHOWSKI

OBRAZ

CYKL MIGRACJE **Moria** | 2
KAROL GRYGORUK

FOTOREPORTAŻ **Po uszy w błocie** | 34
GRZEGORZ PRESS

KOMIKS **Wolne wybory** | 78
HENRYK

ŻARTY RYSUNKOWE **Dzień jak co dzień**
KASIA MOCHI

OKŁADKA **W bańce**
EWELINA DYMEK

STUDIUM

8 | **Poza zasięgiem**
PATRYCJA BUKALSKA analizuje, jak Polska (nie) pomaga dzieciom

56 | **Jemen nad przepaścią**
GHAITH ABDUL-AHAD wyjaśnia, jakie źródła ma obecny kryzys

Z PISMEM U

40 | **...Timothy'ego Snydera**
WOJCIECH ENGELKING pyta o obiektywizm amerykańskiego historyka

REPORTAŻ

16 | **Teraz już cię nie wypuszczę**
SYLWIA WITKOWSKA idzie w teren z kuratorami sądowymi

24 | **Zgłaszam nieprzygotowanie do życia**
ALEKSANDRA WARECKA o tym, jak państwo porzuciło 75 tysięcy młodych Polaków

48 | **Dziady wyszehradzkie**
WERONIKA GOGOLA na Słowacji uczy się, jak najlepiej kopać groby

PORTRET

68 | **Rewolucjonista w fotelu prezydenta**
JON LEE ANDERSON o prezydencie Meksyku LÓPEZIE OBRADORZE

WOKÓŁ KSIĄŻEK

82 | **Bubu król**
ŁUKASZ NAJDER bierze pod lupę autobiografię Kuby Wojewódzkiego

HISTORIA OSOBISTA

90 | **Kobieta i duch inności**
ELIZA KĄCKA walczy o akceptację dla inności córki

FELIETON

89 | TYMCZASEM **Zeszłoroczne słowo**
MARCIN WICHA

MAGAZYN OPINII
Pismo.
Pismo. Magazyn opinii
www.magazynpismo.pl

Mecenas:
empik

Wydawca: Fundacja Pismo
ul. Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa
KRS: 0000689263, NIP: 1182150957

Prezes Zarządu: Piotr Nesterowicz
Członkowie Zarządu:
Agnieszka Liszka-Dobrowolska,
Piotr Stasiak

Redakcja: Pismo. Magazyn opinii, ul. Górskiego 1/66, 00-033 Warszawa,
Redaktorka Naczelna: Magdalena Kicińska, Redaktorka Wydania Cyfrowego: Barbara Sowa,
Dyrektor Artystyczny: Karol Tyczyński, Redaktorka Działu Idee i Sekretarz Redakcji: Katarzyna Kazimierowska,
Projekt makiety: Jacek Utko, Redakcja i korekta: Marcin Czajkowski, Karolina Iwaszkiewicz, Zofia Sawicka,
Dorota Śrutowska, Monika Marczyk, Promocja: Ewa Salamon, Komunikacja i PR: Agnieszka Odachowska,
Reklama: reklama@magazynpismo.pl, Prenumerata: www.magazynpismo.pl/prenumerata
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania.
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i ma prawo do odmowy publikacji.

MIGRACJE

Moria

zdjęcie i tekst KAROL GRYGORUK





—
Mury otaczające obóz Moria na greckiej wyspie Lesbos. Była baza wojskowa to pierwszy punkt rejestracji uchodźców przybywających szlakiem prowadzącym przez Turcję. Druk kolczasty, więzienny rygor i obecność żołnierzy każdego dnia pogłębiają traumy tych, którym udało się uciec przed przemocą.

Oficjalnie mieszka tu trzy i pół tysiąca osób. Stałe przeludnienie w ostatnich latach doprowadziło do powstania nielegalnego koczowiska poza ogrodzeniem. Dziś tysiące osób czekają tu miesiącami, a nawet latami, na dokumenty pozwalające na opuszczenie wyspy.

WSPÓŁPRACA:

minority
rights
group
international

Kugelhopf

tekst LILIANA HERMETZ

Przez szczelne okiennice sypialni nie przedostaje się nawet najmniejszy promyk światła. Sen ma być mocny i niezakłócony. Dawniej Irène otwierała okiennice, kiedy wstawała, a sypialnię zalewało światło i stawała się jasność. Noc oddzielała się od dnia. Irène patrzyła wtedy na niebo, na swój ogród i na ruchliwą ulicę bogatego przedmieścia. Przez długi czas po drugiej stronie ulicy znajdowała się restauracja, w której Irène i cała jej rodzina przeprowadzili wiele lat.

Dziś przedmieście połączono z centrum Strasburga nowoczesnym tramwajem.

W tamtych czasach prawie każdy poranek Irène zaczynała od porannej toalety w łazience z podgrzewaną podłogą. Irène lubi ciepło. (A raczej: Irène nie lubi zimna). Poprawiała kok upinany raz w tygodniu przez tę samą, od lat przychodzącą fryzjerkę. Schodziła wolno do kuchni, witała się z psami, wygładzała im derki. Mówiła do nich coś, co było zapewne czułe, choć tak nie brzmiało, ale to wina alzackiego dialektu. Potem piła kawę z mlekiem i dużą ilością cukru, jadła kromkę puszystego, białego chleba, grubo posmarowaną masłem. (croissantów nie jadła nigdy). Nie zastępowała chleba niczym innym i miała ku temu powody.

Wkładała na nos okulary i z parapetu okna brała gazetę codzienną z wielkim

turkusowym tytułem „DNA”, czyli „Les Dernières Nouvelles d’Alsace”. Czytała strony wkładki, które były po niemiecku. Po stronach francuskich jej wzrok się tylko prześlizgiwał. Od czasu do czasu patrzyła na wiszący na ścianie zegar, zrobiony z wielkiej, mosiężnej patelni – jeden z wielu elementów wystroju wnętrza zdradzających restauratorską profesję domowników. Przed wyjściem sprzątała jeszcze stół, zbierając prawą dłonią do lewej okruszki po chlebie, wygładzała kolorowy obrus (prezenty z Polski). Sprawdziała, czy psy mają pełne miski i świeżą wodę, głaskała je i wypuszczała do ogrodu. Żegnała się z nimi i, stukając po płytkach chodnika obcasami czółenek, szła do restauracji.

– *Joh! Joh!* – mówiła jeszcze do psów, co w tym twardym języku znaczy wiele rzeczy, na przykład: dajcie spokój, przecież jestem niedaleko i przyjdę do was niedługo. Nie rozpaczajcie tak.

Teraz w domu jest tylko jeden pies, Irène przygarbiona go niedawno, po śmierci klienta i przyjaciela rodziny. Choć po odejściu tamtych mówiła, że nigdy więcej.

TEJ NOCY BYŁO JEJ ZIMNO. Mówiła przez sen i – gdyby dało się zrozumieć te dźwięki – byłaby z tego taka mniej więcej opowieść:

Zimno strasznie. Cały czas mi zimno. Słyszę, jak zęby mi dzwonią. Ludzi dużo, ale cieplej ubrani. Więcej mężczyzn niż kobiet. Nie widzę takich młodych jak ja. Słyszę szept kobiety w czarnej, futrzanej czapce: – Dlaczego ci matka nie dała porządnego palta? Chodź tu bliżej, w kupie cieplej. Nie bądź głupia. Zagrzejesz się. Jak się tu w ogóle znalazłaś? Powinnaś siedzieć u mamy za pazuchą jeszcze, jesteś za młoda. Nie masz matki ni ojca? Miastowa? Ile ty masz lat? Wiesz, gdzie jedziemy? Daleko nie zajedziesz z takim milczeniem. Umiesz mówić? Rób, jak chcesz. Chciałam pomóc. – I patrzy na moje długie warkoczki.

Znowu stoimy, nie wiem dlaczego. Długo stoimy, długo. Jak się otwarły drzwi, tylko śnieg pada. Na polach i na drzewach w lesie tylko śnieg. Taki ciężki, mokry. Gałęzie uginają się od jego ciężaru. Domów nie widać. Zamykają nas. I na jeden raz znów jedziemy. Jest mi trochę cieplej. Robię się senna. Zasypiam w swoim kącie. Ale chce mi się sikać. Nie wiem, gdzie się tu idzie. Nie wiem, kogo spytać.

– Przepraszam, czy pani wie gdzie tu... Gdzie dla dziewcząt... Dla kobiet? Mam szesnaście. Piętnaście, bo dopiero w listopadzie... Nazywam się Marysia. Tam zamknięte wyjście i tam też. Może pukać? Tylko gdzie? Chyba trzeba czekać, aż znowu się zatrzymamy. Może na jakiejś stacji.



Co pani myśli? Śpi pani? Ja też spróbuję spać.

Już prawie śpię. I widzę, jak jedna kobieta idzie tam do rogu, i tam sika na słomę. Za nią druga. A potem jakiś mężczyzna rozpina rozporek i też. Widzę, jak para idzie. Zasłaniam ręką nos. Mam dziurę w rękawiczce. Zasypiam.

— HALLO! IRÈNE! *Bonjour*. Niech się pani obudzi. *Hallo. Ça va?*

— Ah! *Ya*, Julie. Już pani jest? *Bonjour*.

— No tak, jak co dzień o dziesiątej.

— Nie chce mi się dzisiaj wstawać. Będzie mi zimno.

— Ależ nie, jest ciepło. Już otwieram okiennice, sama pani zobaczy. Słońce mocno grzeje, kasztanowiec kwitnie. Całkiem ładny dzień. Proszę się chwycić tu i podnieść. *Voilà*. Bardzo dobrze. Powoli proszę podkurczyć nogi. Nie kręci się pani w głowie? *Ça va?*

— *Ya, ça va, ça va*, Julie.

— A teraz chwilę odpocząć i sama. Kąpiel była wczoraj i włosy też umyłyśmy, pamięta pani?

— Tak, naturalnie, że pamiętam. Wszystko pamiętam, Julie. Gdyby reszta pracowała jeszcze tak jak głowa...

— Zdejmę pani koszulę. Ręce do góry, ale powoli. Może zdejmę na razie zegarek i tę bransoletę? Jest piękna, ale trochę nam przeszkadza. Dobrze, to chociaż zegarek. Dobrze pani spała, Irène?

— *Oui, oui...*

— Siku, Irène? Pomogę pani usiąść na tym tronie i wyjdę, dobrze?

— Nie. Pójdę dzisiaj do toalety.

— Na pewno? Proszę się nie zmuszać. Nie jest pani jeszcze całkiem zdrowa. Potem założymy sweterek. A! Dzisiaj zakładamy żakiet, widzę, i bluzkę. Ma pani dziś wizytę? Wybiera się pani gdzieś? Pomalutku, Irène. Mamy czas. Zostawiam uchylone drzwi i czekam...

— Nie. Proszę zamknąć.

— A kto to dzisiaj do pani przychodzi?

— Kto przychodzi? A... taki jeden *žurnalist*.

— O, coś się śniło, widzę.

— Dużo się śni ostatnio.

— Ktoś dzwoni. Zejść otworzyć?

— Nie, synowa otworzy. To na pewno

Thérèse, moja fryzjerka.

— No tak, przecież to środa. Mam przyjść po południu, Irène?

— Nie, dziękuję, Julie, dzisiaj nie.

— SPIĘŁAM PANI MOCNIEJ Z TYŁU, żeby się lepiej trzymało, bo teraz częściej pani leży. Ile to już lat, Irène, jak się znamy, co? Dwadzieścia cztery? Dwadzieścia pięć? Włosy ma pani ciągle piękne. Zawsze ich pani zazdrościłam.

— Ja ich dużo zgubiłam w ostatnim czasie. Moja mama też takie miała. Mama mnie zawsze długo, długo czesała. Jak miała czas, naturalnie. Cesała, cesała, a na koniec robiła mi warkocze. To najładniejsze, co pamiętam.

— No pewnie, zawsze się pamięta te miłe rzeczy. A nigdy nie mówiła pani o mamie...

— Oh, Thérèse! Każdy miał kiedyś mamę, nie?

— Pani nie mówiła dużo o przeszłości. Moje klientki, te starsze, zawsze tylko wspominają. Opowiadają o matkach, o mężach, jeśli są wdowami. A najwięcej o dzieciach.

— Thérèse, boli mnie dzisiaj głowa.

— Ojej, przepraszam. Za mocno spała? Już...

— Nie. Czesanie mi nie przeszkadza. Tylko słuchanie. Dzisiaj moja głowa nie pracuje dobrze. W tym języku.

IRÈNE SIEDZI JUŻ W SWOJEJ KUCHNI, ubrana, jakby się szykowała do wyjścia. Pod stołem pies położył się przy jej spuchniętych nogach. Perłowy blond na wyczesanych i upiętych do tyłu niewidocznymi szpilkami włosach Irène błyszczą w słonecznym świetle, które wpada przez duże okno. Brwi cienkie, zaznaczone ciemnoszarą kredką. Trochę pudru na twarzy.

Ręce spoczywają na stole, dłonie ma wciąż bardzo ładne. Szeroka, złota bransoleta zatrzymała się poniżej mankietu jedwabnej bluzki.

Irène patrzy przez okno na ulicę i na przejeżdżający tramwaj. Tramwaj zatrzymuje się. W polu widzenia Irène znajduje się fragment ogrodu z różami i furtka ze złotymi zdobieniami, ale ona patrzy na tramwaj. Ma ciągle bardzo dobry wzrok.

Okularów używa tylko do czytania. Po prawej stronie może widzieć kwitnący, rozłożysty kasztanowiec, przy którym od jakiegoś czasu stoi ławeczka. Bywa, że siadają tam młodzi. Całują się, palą papierosy, słysząc ich głosy, śmiechy. Tramwaj jest szaro-zielony, ma wielkie okna, których się nie otwiera, ale klimatyzacja działa bez zarzutu. Najnowocześniejszy tramwaj w całej Francji, czytała w „DNA” kilka lat temu. Wejście jest na poziomie chodnika, można wsiąść bez żadnego wysiłku. Jeszcze niedawno jechała nim do miasta. Ale w lutym ból w krzyżu zaatakował mocniej.

Patrzy i wsłuchuje się w dźwięki sygnalizujące zatrzymanie się i odjazd. Z miejsca, w którym teraz jest, nie może dostrzec twarzy pasażerów. Widzi tylko sylwetki. Wpatruje się długo, zamyślona. Okno jest teraz znacznie mniejsze, otwarte do połowy, i wychyla się przez nie młody mężczyzna, macha białą chusteczką. Pociąg zatrzymał się na chwilę. — To on! To on! — krzyczy Herta. — Mówiłam ci, że będzie tędy jechał. Popatrz! — Biegna obie z Marią jak najbliżej okna kuchennego baraku. Herta wychyla się i macha z całych sił. — Maria, pomachaj mu też. Bo on się już nie wróci. Mam takie przecucie, że go więcej nie zobaczę. Haaans! — krzyczy bezgłośnie i posyła ręką buziaki. Mężczyzna macha, a potem wyciera chustką twarz. Maria też macha. Pociąg rusza i znika. Dziewczyny obejmują się przez chwilę i wracają do pracy. Herta nakłada ugotowaną breję do metalowych misek, wsuwa coś pod jedną z nich. Maria rozumie, że to znowu wiadomość dla Philippe’a, tego francuskiego jeńca. Boi się, to niebezpieczne, ale nie jest w stanie odmówić. Jej chude nogi są jak z waty. Idzie w kierunku baraku z jeńcami. Francuz przygląda się uważnie miskom. Na szczęście się domyślił.

Wciąż pamięta jego nieogoloną, chudą twarz i podkrążone piwne oczy.

„Do dziś nie wiem, którego z nich Herta bardziej kochała — myśli Irène. — Ani z którym była w ciąży. A czy ona sama to wiedziała, ha? Ten Hans, Niemiec, faktycznie nie wrócił z frontu. A Francuza zabrali razem z innymi. Nie wiadomo, co się z nim stało”. Irène zamyśla się. Herta urodziła ładną dziewczynkę. Zawsze mówiła, że da jej moje imię. I tak zrobiła, nazwała ją Marie. Mieszkała z dzieckiem w Niemczech, w Tübingen,

nie tak daleko stąd. Przyjeżdżała tu do nas przez kilka lat, a potem na jeden raz przestała. Pojechałam do niej z moim mężem, ale nie było jej w domu. Ta pani, u której Herta wynajmowała mieszkanie, powiedziała, że często gdzieś wyjeżdżała, aż w końcu spakowała walizki, zabrała dziewczynkę i już nie wróciła”.

„Czemu to wszystko się teraz tak mocno przypomina – pyta samą siebie. – Na starość pamięć... szwankuje. Tak się to mówi?”.

—
 – URODZIŁA SIĘ PANI...? – Tysiąc dziewięćset dwadzieścia sześć. – Gdzie? – W Polsce. – Jest pani Polką? – A kim miałabym być? – Mieszka pani we Francji od? – Czterdziesty siódmy. Luty. To znaczy przyjechałam trochę wcześniej. To był listopad, już po moich urodzinach. Ale ślub był w czterdziestym siódmym, w lutym. – Jak się pani znalazła we Francji? – O to trzeba było pytać się mojego męża. Jak żył. A najlepiej pytajcie się Niemców. – Ile lat pani miała, kiedy pani wyjechała? – Ja nie wyjechałam. Zabrali mnie, tak jak stałam. W starym palcie, w zniszczonych butach. Nawet rękawiczki miałam z dziurami. Byłam wtedy na wsi u dziadzia, pojechałam po trochę kartofli. Miałam piętnaście, niecałe szesnaście. – Jak pani wyjechała, to znaczy mam na myśli środek lokomocji? – Tak jak wszyscy, pociągiem. Nieogrzewane wagony. Nic tam nie było, nie usiąść, nie do toalety pójść. Każdy załatwiał swoje potrzeby w rogu na słomę. No co zrobić? – Gdzie ten pociąg panią dowiózł? – Do Niemców. – Ale gdzie konkretnie? – Strasznie długo jechałyśmy. Pan rozumie, to nie było jak dzisiaj do Niemców jechać. Nie były takie dobre szyny jak dzisiaj. Pociąg jechał, potem stał, znowu jechał. Zima, to był luty, śnieg tak mocno padał. Pierwsze miejsce nie wiem, jak się nazywało. – Ale musiało mieć jakąś nazwę... – Na pewno miało. Ale nie pamiętam. A dla pana to jest ważne? – Tak, chciałbym znać fakty. – A jak ja panu mówię, to się nie liczy? – Liczy, ale... – Pan myśli, że ktoś coś nam tłumaczył, ha? Nie miałyśmy żadne informacje. Potem już tylko myślałyśmy, żeby wyjść z tego pociągu. Żeby mieć trochę świeżego powietrza. Jak pan jedzie kilka dni w taki sposób, nie jedzenia, nie picia. Ja chciałam do

normalnej toalety, wstydziłam się. Byłam miastową dziewczynką. Byłyśmy biedne, ale... – Co pani tam robiła, w Niemczech? – Najpierw kopałam rowy. Ziemia była taka zamrożona i twarda, nie mogłam na początku nawet wbić łopaty. – Co pani jeszcze pamięta? – Wszystko... Byłam ciągle głodna. *Noh!* To jest normalne, jak jesteś młody, chcesz jeść. Co to za jedzenie tam było, zupa, kawałek chleba jak z trocin. Jeżeli ja w ogóle dostałam jeść. – To znaczy? – Jak nie wykopałam tyle a tyle metrów rowu, nie dostałam jedzenia. – A wykopała pani? – Rzadko. – Jak pani przetrwała? – A to jest dobre pytanie. Ale odpowiedź nie jest tak prosto. Tam przy tych rowach czasem jedna dziewczyna, trochę starsza ode mnie, podzieliła się ze mną swoją porcją. – Dlaczego? – Nie wiem. – Nie była głodna? – Na pewno była. – Więc dlaczego? – Mówiła, że jej wystarczy. Miała więcej siły ode mnie. Potem mi opowiedziała, że pochodzi ze wsi, z gospodarstwa. Umiała ciężko pracować. Ale te rowy nie były jeszcze najgorsze, co się okazało dopiero potem. Chce się pan pytać dalej?

– Była pani żoną znanego restauratora. – Tak, znanego restauratora, który nie umiał gotować. – To znaczy? – To znaczy, że to, co ludzie tak u niego chwalili, gotowałam ja. To były moje pomysły, moje smaki i naturalnie moja ciężka praca. – Skąd pani wiedziała, jak należy to robić? – Z mojej głowy. *Noh!* Na początku nie wiedziałam. Próbowałam, wymyślałam. Mówiłam sobie: a, ty to musisz zrobić tak a tak, i to będzie lepsze. A, ty musisz dodać to i to, to będzie dobre połączenie. Wie pan, każdy kucharz ma takie *petits trucs*. Takie swoje sekrety. Jak ja robiłam na przykład ten znany alzacki *kugelhopf*? Wszyscy wiedzą, że trzeba dodać *schmâps* do ciasta, a *ya*, natu-



ralnie. Ale kiedy jego dodać? Ja mogę panu zdradzić... – Yyy, a jak się pani czuła we Francji? – Pan mi nie wierzy. Naturalnie. Stara kobieta coś panu opowiada. Cudzoziemka. Mówi z akcentem i nie zawsze dobrze po francusku. – Wszystko rozumiem, dobrze pani mówi.

– Wie pan, jednego razu u nas, w restauracji, było już po obiedzie, ale jeszcze miałam robotę w kuchni, mąż zawołał mnie, bo przyszli jego znajomi. Zdjęłam szybko fartuch, wytarłam ręce z mąki, poprawiłam włosy i poszłam. Przywitałam się, naturalnie, jak się należy. Usiadłam, chociaż rzadko to robiłam. Z klientami siedział zawsze mąż. No i była jakaś dyskusja, *noh*, taka rozmowa, jak to przy stole, o tym, która medycyna jest lepsza, czy niemiecka, czy francuska. I ktoś tam mówi, że Niemcy są lepsze. I ja wtedy na jeden raz mówię, tak, one mogą być lepsze, a *ya*, naturalnie, tyle eksperymentów na ludziach, co oni zrobili, ha? Tyle co oni ludzi pobili, pomordowały. Tak, mogły się lepiej nauczyć od innych. Przy stole zrobiło się cicho i nikt nie wiedział, co powiedzieć. Potem już nic nigdy nie mówiłam.

– Pomoże mi pan odpiąć bransoletę? Pokażę panu coś. Chce pan słuchać dalej?

—
 TA ROZMOWA Z ŻURNALISTĄ nie miała miejsca. Jednak Irène coraz częściej ją sobie wyobraża.

Wciąż siedzi w swojej kuchni, choć o tej porze powinna się położyć i odpoczywać.

Po obiedzie napiła się kawy – bez cukru, bo doktor Albert zabronił. *Noh!* „Nie ma problemu, panie doktorze, człowiek może się do wszystkiego przyzwyczaić, ha?”.

Patrzy wciąż na tramwaj, na pojedynczych ludzi wsiadających i wysiadających. Słyszy, jak synowa mówi: – Mamo, niech się mama położy, nie wolno tak długo siedzieć, krew nie cyrkuluje dobrze, przecież mama wie. Znowu nogi będą spuchnięte.

„*Ya, ya*, Annie, masz całkowitą rację” – myśli Irène.

„Wszyscy o mnie myślą. Doktor Albert ciągle przychodzi słuchać, jak pracuje serce. Annie jeździ do apteki po nowe lekarstwa. Muszę dużo leżeć i odpoczywać. A jakby tak na jeden raz ktoś wysłuchał mojej historii, ha?”.

Poza zasięgiem

tekst PATRYCJA BUKALSKA

JAKĄ FORMĄ PRZEMOCY: fizyczna, psychiczna, seksualna, dotknęła siedmioro na dziesięcioro polskich dzieci w wieku od jedenastu do siedemnastu lat. To znaczy, że statystycznie takie dziecko zna każdy z nas.

Codziennie w południe włączanych jest pięć linii Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży. Natychmiast stają się zajęte. Nigdy nie udaje się odebrać telefonów od wszystkich, którzy próbują się dozwonić. Trzeba mieć nadzieję, że z sygnałem „zajęte” nie pozostają ci, właśnie próbując popełnić samobójstwo. Inaczej nie dałoby się pracować.

Taki telefon to już ten kres, gdy nawet nie czeka się na pomoc. Dzwonią dzieci, które tylko chcą być usłyszane. Mówią: „Niech pani po prostu ze mną będzie, jak będę umierał, bo się boję”. Myślą, że doszły do końca drogi. Rodzice są czasem w drugim pokojku.

Na warszawskiej Woli pracownice społeczne prowadzą program „Odpowiedzialna mama” zaczyna działać, gdy dziecka nie ma jeszcze na świecie. Jedną z pracownic Ośrodka Pomocy Społecznej odwiedza kobiety w ciąży w potencjalnie ryzykownej sytuacji, samotne, z dysfunkcyjnych rodzin – z problemem alkoholowym lub przemocowym. Stara się być ich wsparciem, przewodniczką w nowym życiu, zapobiec pro-

blemom. Jest przy nich również potem, gdy dziecko się narodzi. Czuwają, by nic złego się nie działo.

Wolę, gdzie realizowany jest program, od Centrum Pomocy Dzieciom Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę (FDDS), która prowadzi między innymi telefon zaufania, dzieli kwadrans jazdy tramwajem. Pomędzy nimi – całe spektrum możliwych dziecięcych problemów. I system pomocy – tej oficjalnej, regulowanej przez państwo poprzez odpowiednie instytucje i ustawy, i tej oferowanej przez organizacje pozarządowe. Są asystenci, świetlice, stypendia, zespoły i grupy robocze, pedagodzy i kuratorzy. Powinno działać.

— PODSTAWĄ JEST PRAWO. Najpierw była ustawa o pomocy społecznej z 2004 roku, potem ustawa o wspieraniu rodziny i systemie pieczy zastępczej (weszła w życie w 2012 roku), która przejęła część zadań wcześniejszej legislacji, ale reguluje też nowe kwestie. Teraz są to równoległe akty prawne. No i jest jeszcze ustawa o przeciwdziałaniu przemo-

cy w rodzinie z 2005 roku. Ustawy są nowelizowane, zapisy zmieniane, w gąszczu regulacji trudno się zorientować. W każdym razie przepisy prawa są takie same dla wszystkich, ale już sposób ich realizowania zależy od władz samorządowych, ich możliwości organizacyjnych i interpretacji. I budżetów.

Sprawy socjalne realizowane są zwykle przez ośrodki pomocy społecznej – miejskie (MOPS-y) lub gminne (GOPS-y). Nazwy jednak bywają różne – może być MOPS, a może być MOPR (Miejski Ośrodek Pomocy Rodzinie). Albo Centrum Pomocy Społecznej. Niektóre zadania mogą być też zlecane fundacjom. Paleta jest szeroka: od świadczeń materialnych, przez poradnictwo, opiekę dla seniorów i pieczę zastępczą dla dzieci, po przeciwdziałanie przemocy i tym podobne.

Z jednej strony system pozwala na pewną elastyczność, zależnie od potrzeb mieszkańców danej gminy. Z drugiej – wiele w tym bałaganu. Różnic jest więcej, bo inaczej pracuje się w MOPS-ach, zwłaszcza w dużych miastach, a inaczej w gminach, gdzie często mała grupka pracowników jest obciążona zbyt wieloma zadaniami. Jednak w małych ośrodkach wszyscy się znają i łatwiej wykryć nieprawidłowości. Przynajmniej w teorii, bo w praktyce nie zawsze chce się użyć wiedzy o sąsiadach.

I jak zawsze – najwięcej w tym wszystkim zależy od człowieka.



Teraz trwają prace nad kolejną zmianą prawa – ustawą o powołaniu centrów usług społecznych. Miałyby być tworzone albo obok istniejących ośrodków pomocy społecznej, albo na ich bazie, ale oferować jeszcze szerszy wachlarz usług społecznych, w tym związanych z edukacją i kulturą. Mogłyby, a nie musiały, bo ma to być jedynie możliwość zaproponowana gminom. Celem jest koordynacja usług, ale pracownicy pomocy społecznej mają wątpliwości – boją się chaosu organizacyjnego i problemów z przepływem informacji.

Na razie jednak system toczy się utartymi koleinami. – Nie jest zły, daje możliwości pomocy – mówią mi mimo wszystko pracownicy OPS-ów.

Przed wszystkim jednak – zgodnie z nazwą ustawy – system pomaga w pierwszej kolejności rodzinie. Nie dziecku. A czasem to właśnie rodzina jest źródłem problemów i zagrożeń. Nadal też brak jest swego rodzaju informacyjnej bazy danych na temat losów dziecka.

Co ważniejsze, aby dziecku pomóc, ktoś musi najpierw zauważyć, że ono tej pomocy potrzebuje. Lub usłyszeć prośbę o pomoc. A system uszu nie ma.

— SYGNALISTĄ MOŻE BYĆ KAŻDY, kto podejrzewa, że dziecko jest krzywdzone, ale głównymi sygnalistami powinni być pracownicy oświaty i służby zdrowia, którzy mają bezpośredni kontakt z dziećmi. Jeśli zauważą, że z dzieckiem dzieje się coś złego, powinni dać nam znać – mówi Olga pracująca w pomocy społecznej od ponad dwudziestu lat. Teraz jest zatrudniona w MOPS-ie w dużym mieście. – I dostajemy takie sygnały. Muszę przyznać, że pomaga nam też technologia – dużo anonimów dostajemy mailowo. Ludziom łatwiej wysłać wiadomość, gdy ich coś niepokoi. Nie wiem jak w innych MOPS-ach, ale u nas wszystkie takie sygnały są sprawdzane. – Jak? – Po prostu dzwoniemy, pukamy do drzwi – mówię.

Marta, również ponad dwadzieścia lat praktyki, pracuje w małym ośrodku: – Skąd mamy sygnały? Nasza sieć jest szeroka. Współpracujemy ze wszystkimi placówkami oświatowymi, służbą zdrowia, ogniskami środowiskowymi Towarzystwa Przyjaciół Dzieci, no i nie bez powodu dużo pracujemy

w terenie. Po zgłoszeniu problemu przeprowadzamy wywiad środowiskowy i zależnie od rezultatów działamy dalej – mówi z przekonaniem. – Podczas wizyty w domu potrafimy się zorientować, jak wygląda sytuacja rodziny, mamy w tym doświadczenie.

Jednak nawet doświadczony pracownik może czegoś nie zauważyć, chociażby wtedy, gdy przychodzi do domu, kiedy dzieci są w szkole. Zawsze natomiast, gdy w mediach pojawia się przypadek przemocy wobec dzieci, pracownicy OPS-ów są wywoływani do odpowiedzi i obarczani odpowiedzialnością. Ograniczeni przepisami o ochronie danych osobowych, często muszą milczeć i nie mogą się bronić. Ludzki błąd, przeoczenie, rutyna, nadmiar pracy – to wszystko może się zdarzyć, choć nie powinno. Ale czasem i oni są bezradni: ich uprawnienia i możliwości kontroli są ograniczone. Olga przyznaje na przykład, że miała obawy, czy skutkiem ubocznym programu Rodzina 500 plus nie będzie stracenie niektórych dzieci z radaru. – Jeśli rodziny przestają pobierać świadczenia, a nie ma informacji o problemach, takich jak przemoc czy uzależnienia, to my nie mamy już powodu i możliwości, by tę rodzinę obserwować. Nikt mnie nie wpuści tak po prostu do domu – wyjaśnia.

— NO WŁAŚNIE, MUSI BYĆ POWÓD interwencji – ktoś musi coś zauważyć i to zgłosić, ktoś inny zaś powinien zareagować na zgłoszenie. Klasyczny łańcuch w przypadku dziecka w wieku szkolnym wygląda tak: nauczyciel lub wychowawca zauważa, że z dzieckiem coś się dzieje, na przykład zaczyna być „trudne”, czyli głośne, konfliktowe – lub wręcz przeciwnie, cichnie, stara się nie rzucać w oczy. Albo przestaje chodzić do szkoły – to zauważyć najłatwiej. Nauczyciel może próbować sam rozmawiać z dzieckiem lub jego rodzicami albo od razu zwrócić się do pedagoga szkolnego. Ten powinien skontaktować się z opiekunami dziecka, a jeśli to nie daje rezultatów (lub jest podejrzenie, że to oni są źródłem problemu) – zawiadomić opiekę społeczną lub od razu sąd rodzinny. Tyle teoria.

W praktyce wygląda to różnie. Nawet jeśli sygnał został wyłapany, to problemem jest czas. – Miałam ucznia, który najpierw zaczął chodzić do szkoły w kratkę, a potem

przestał. Rozmowa z rodzicem nic nie dała – matka stwierdziła, że go nie upilnuje, że on rano wychodzi z domu, a gdzie jest potem, to ona już nie wie – opowiada Nina, nauczycielka szkoły podstawowej w średniej wielkości mieście. – Po kilku takich rozmowach sprawa trafiła do sądu rodzinnego, to wszystko jednak trwa, a dziecka dalej nie ma w szkole. W ten sposób mija pół roku, dla ucznia to stracony cały rok szkolny.

W szkole, w której uczy Nina, uczniów jest kilkuset. Ten został zauważony, bo łatwo odkryć wagary, ale przecież nie zawsze tak jest. Czasem sygnały o problemach są mniej oczywiste.

– U mniejszych dzieci łatwiej zaobserwować, że dzieje się z nimi coś złego. Są bardziej otwarte. Poza tym w małej szkole od razu wszystko widać. Przecież zna się właściwie każde dziecko – opowiada Magda, która uczy w wiejskim gimnazjum (po reformie – szkole podstawowej z oddziałami gimnazjalnymi). – W trudnych sprawach, gdy na przykład jest problem z rodzicem, bardzo wiele zależy od dobrego pedagoga szkolnego, od jego wyczucia, intuicji i umiejętności. Współpraca z rodzicami to osobny temat. Nie wszyscy chcą wysłuchać naszych uwag, nie chcą widzieć problemu.

Pedagog jest w każdej szkole, pytanie, jak bardzo chce się angażować. Jego możliwości zależą też od dyrektora szkoły, bo zdarza się i tak, że dyrektor niechętnie patrzy na to, by problemy uczniów wychodziły poza placówkę. Bo to szkodzi jej wizerunkowi. Dziecka z problemami albo lepiej nie zauważyć, albo wypchnąć je poza szkołę – tu z kolei presję wywierają nieraz rodzice innych dzieci z klasy.

Jak organizacje pozarządowe znajdują potrzebujące pomocy dzieci? – To zasługa naszej pracy środowiskowej. Mamy dobry kontakt z kuratorami sądowymi i pracownikami socjalnymi. Nasi pracownicy chodzą też do szkół, spotykają się z pedagogami szkolnymi i nauczycielami, proponują pomoc świetlic dla dzieci. Kiedyś było łatwiej. Teraz nauczyciele obawiają się rodziców, wolą nie interweniować, nie wtrącać się – nawet jeśli to ma być tylko przekazanie naszej wizytówki – mówi Anna Gierałowska, prezeska Powiślańskiej Fundacji Społecznej w Warszawie. – Szkoła jest sparaliżowana ochroną danych osobowych,

niechęcią do dodawania sobie pracy. Za mało przygląda się dziecku. Czasem zdarza się, że idę do pedagoga szkolnego, pytam o dzieci z problemami, a on mi mówi, że nie wie, czy takie ma...

Pewnego rodzaju monitorującą funkcję pełnią przedszkola i żłobki. Coraz częściej wychowawcy decydują się na zgłoszenie swoich wątpliwości. – Ja rozumiem, że to jest nieprzyjemne. Ale jeśli ma się wybór między ewentualną przykrą reakcją niesłusznie oskarżonego rodzica a cierpieniem dziecka, to chyba jest on prosty, prawda? – pyta retorycznie Elżbieta Lesiak, kierowniczka działu wsparcia i pomocy rodzinie w OPS-ie na warszawskiej Woli.

W najgorszej sytuacji są te dzieci, które nie chodzą jeszcze do szkoły ani do przedszkola. Nie mają kontaktu z innymi ludźmi poza wizytą w przychodni podczas szczepienia. A nawet gdyby mogły się komuś poskarżyć, to tego nie robią, bo ich kontakt ze światem jest tak ograniczony, że nie wiedzą, że powinny być traktowane inaczej.

Takie dzieci nie mają też jeszcze własnego telefonu, by zadzwonić na telefon zaufania.

—
DZIECKO MOŻE ZNAJDOWAĆ SIĘ w trudnej sytuacji z wielu powodów, jednak przemoc jest tą najbardziej ekstremalną. Ta fizyczna jest jednocześnie najłatwiejsza do zauważenia przez kogoś z otoczenia dziecka – zostawia ślady. W takim przypadku jasno są też określone ścieżki postępowania: dorosły podejrzewający, że dziecko doznaje przemocy, ma obowiązek zareagować i na przykład zawiadomić policję. Powinna też zostać założona Niebieska Karta – a może ją założyć nie tylko policjant, ale także nauczyciel, pracownik socjalny bądź lekarz. Istotne, że to postępowanie z urzędu. – To wielkie osiągnięcie ustawy. I oby się nie zmieniło – wdycha Olga.

Formą przemocy jest też zaniedbanie, brak opieki, groźby, znieważanie. Do przemocy może dochodzić ze strony rówieśników lub dorosłych, często tych najbliższych. Według opublikowanego w 2018 roku przez Fundację Dajemy Dzieciom Siłę raportu *Ogólnopolska diagnoza skali i uwarunkowań krzywdzenia dzieci* jakaś forma przemocy: fizyczna, psychiczna, seksualna czy polegająca na fizycznym zaniedbaniu

Dziecko jest, wysyła sygnały, a jednak mimo całego rozbudowanego systemu mającego je chronić, może zniknąć lub stać się niewidoczne.

dotknęła siedmioro na dziesięcioro dzieci w wieku od jedenastu do siedemnastu lat. To znaczy, że statystycznie takie dziecko zna każdy z nas. W tym przez bliskich dorosłych zostało skrzywdzonych ponad czterdzieści procent badanych. Sprawcami najczęściej byli rodzice. Trzynastą procent badanych dzieci było świadkami przemocy w domu.

Podobne badania przeprowadzono też w 2012 roku. Niektóre wskaźniki zmalały, inne wzrosły, największą kategorią pozostaje tak jak wcześniej przemoc rówieśnicza (pięćdziesiąt siedem procent przypadków przemocy w ogóle). Jak jednak podkreśla Joanna Włodarczyk, współautorka raportu FDDS: – Ważne, żeby mieć świadomość tego, że dzieci doświadczają przemocy i krzywdzenia, rozmawiać z nimi o tym, mówić im, jak mogą się zachować. Żeby w ogóle wiedziały, że to, co się z nimi dzieje, to przemoc.

Pozytywną informacją płynącą z raportu jest fakt, że większość dzieci – aż osiemdziesiąt dziewięć procent – deklaruowało, że ma osobę, do której może się zwrócić w trudnej sytuacji. Jednak siedem procent dzieci nie ma nikogo takiego. Aż siedem procent! – Przecież dzieci nie mieszkają same, nie są pozostawione same sobie, a jednak tych siedem procent czuje, że nie ma wokół nich ani jednej osoby, której mogą zaufać – komentuje Włodarczyk. – To jest straszna samotność.

Czy mogą same poprosić o pomoc, poszukać wsparcia? – Dzieci inaczej niż dorośli oceniają sytuację. Biorą na siebie odpowiedzialność za problemy w domu. Odczuwają wstyd. Rzadko więc same proszą o pomoc – mówi Olga. – To my musimy je zauważyć. Nawet jeśli dają znaki nie wprost.

—
DZIECKO JEST, WYSYŁA SYGNAŁY, a jednak mimo całego rozbudowanego systemu mającego je chronić, może zniknąć lub stać się niewidoczne.

Kilka miesięcy temu Paweł Piotr Reszka opublikował reportaż o czternastoletnim Pawle, który popełnił samobójstwo. Mimo że mieszkał blisko krewnych, we wsi, w której wszyscy się znali, po prostu chodził głodny. Dopóki uczęszczał do szkoły podstawowej, dopóty nauczycielki starały się mu pomóc, oferując dyskretnie obiady. Kiedy trafił do gimnazjum, nikt nie przekazał informacji o jego sytuacji, a w nowym miejscu nikt nie zwrócił na niego uwagi. Paweł nie figurował w rejestrze pomocy społecznej, bo matka odmówiła korzystania z takiego wsparcia. Nikt z ludzi wokół nie chciał się wtrącać. Paweł był, ale stał się niewidzialny. W pewnej chwili nie miał już siły o siebie walczyć.

Z kolei w 2017 roku książką *Był sobie chłopczyk* Ewa Winnicka przypominała sprawę dwuletniego Szymona z Będzina. Jego ciało odnaleziono w stawie w Cieszynie i przez ponad dwa lata policja nie była w stanie ustalić jego tożsamości – co oznaczało, że gdzieś było dziecko, zniknęło i nikt tego nie zauważył.

Ale Marta z GOPS-u jest przekonana, że dziecko nie może zniknąć. – OPS-y chętnie ze sobą współpracują, również ze szkołą. A ja, jeśli widzę, że znana mi rodzina rodzina Kowalskich przestaje się kontaktować, dziecka w szkole nie ma, próbuję pytać, czy ktoś z bliskiego środowiska ma jakieś informacje o rodzinie, pytam sąsiadów, gdzie wyjechali. Jeśli nikt nic nie wie, to zawiadamiamy policję.

Olga pracująca w dużym mieście ma już mniejszą pewność: – Kiedy rodzina postanowi się wyprowadzić i wiemy gdzie, to zawiadamiamy OPS w tym nowym miejscu. Jeśli jednak nie powiedzą, gdzie będą mieszkać, to mamy związane ręce. Wypłyną w systemie, jeśli znów zgłoszą się po świadczenia socjalne, 500 plus i tak dalej. A jeśli nie? Jeśli będą chcieli zniknąć, to znikną – mówi.

Jeśli nie ma podejrzeń, że istnieje zagrożenie dla życia lub zdrowia dziecka, to ani policja, ani OPS-y czy inne służby nie mogą nic zrobić. Tymczasem niepokojące sygnały mogą być trudne do jasnego zaklasyfikowania, zwłaszcza gdy w grę wchodzi na przykład problemy psychiczne czy zaniedbania emocjonalne.

—
KIEDY SYSTEM REJESTRUJE, że dziecko potrzebuje pomocy, to skupia się zwykle na pomocy całej rodzinie. – Klientem pomocy społecznej jest rodzina. Tak określa to ustawa, ale wszystko, co robimy, robimy dla dziecka – zapewnia Elżbieta Lesiak. – I trzeba pamiętać, że zdarza się i tak, że dobro dziecka nie jest tożsame z dobrem rodziny.

– Da się pomóc samemu dziecku, ale zasadą jest wsparcie dla całej rodziny – podkreśla Marta z GOPS-u. – Próbuje edukować rodziców, mobilizować do współpracy z nami oraz do pracy z dzieckiem. To wieloletni proces. Jeśli jest to niemożliwe, decyzją sądu rodzinnego dziecko umieszczane jest w placówce. Proszę mi wierzyć, to nie jest dla nikogo łatwa decyzja.

Po chwili dodaje: – To dziecko często zna się od małego, widziało się je jako niemowlę, roczne, dwuletnie, a potem przychodzi moment, że trzeba przyznać, że zabranie go z domu jest jedyną możliwością. To zawsze ostateczność.

Zanim jednak do tego dochodzi, rodzina jest wspierana na rozmaite sposoby. Jednym z nowych są asystenci rodziny, wprowadzeni ustawą o wspieraniu rodziny w 2011 roku.

– Asystent trafia do rodziny, która już wiele przeszła, jej problemy się nawarstwiły. I jednym z pierwszych wyzwań jest skłonienie jej, by zaufała kolejnej osobie, kolejnej instytucji – opowiada Agnieszka Macyk, prezeska zarządu Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Asystentów Rodziny (OSAR). – Często asystent jest traktowany jak zło konieczne. Rodziny zgadzają się na jego obecność dla świętego spokoju. Powoli trzeba wypracować z nimi relację. Jeśli to się nie uda, to praca z rodziną jest trudna, mniej efektywna, a najczęściej niemożliwa. I tu pojawia się problem – na budowę relacji potrzeba czasu, a my, wysłani do rodziny w sytuacji już niemal krytycznej, pracujemy pod jego presją.

Jak asystent trafia do rodziny? Są trzy drogi. Rodzina może sama zgłosić się po pomoc (Macyk zaznacza: – Wtedy jest to najwdzięczniejsza praca). Wniosek o asystenta może też napisać pracownik socjalny zajmujący się rodziną. Asystenta może również przyznać sąd, a rodzina jest zobligowana do pracy z nim, na przykład w sytuacji zagrożenia odebraniem dzieci. – Sąd musi wyko-

rzystać wszelkie możliwe środki, zanim podejmie decyzję o pieczy zastępczej – zwraca uwagę Macyk.

Asystent ma pod opieką średnio kilkanaście rodzin, które odwiedza przynajmniej raz w tygodniu. – Pracujemy cały czas w terenie z bardzo trudnymi przypadkami, co jest obciążające psychicznie, a nie przysługuje nam nawet urlop dla poratowania zdrowia, który mają pracownicy OPS-ów. Jest nas za mało, gminy mają problem, by kogoś znaleźć do pracy. Dlatego asystentami zostają ludzie z łapanki, bez ukończonego profesjonalnego szkolenia zatwierdzonego przez ministerstwo – podkreśla Agnieszka Macyk.

—
ASYSTENT TO KOSZTOWNE ROZWIĄZANIE, wprowadzane na zaawansowanym etapie kontaktów z rodziną. Tymczasem niekiedy nie byłby rodzinie potrzebny, gdyby pracowano z nią wcześniej. – Wtedy wystarczyłyby warsztaty, wsparcie, pomoc w zdobywaniu kompetencji rodzicielskich – zwraca uwagę Olga. – U nas organizujemy kluby dla młodych mam. One tam nie tylko uczą się, jak na przykład bawić się z dziećmi, bo często tego nie wiedzą, ale i same dla siebie zaczynają być wzajemnym wsparciem. Trzeba pomagać jak najwcześniej – podkreśla.

– Rodziny docierają do nas za późno – zgadza się Elżbieta Lesiak. – Pokutuje przekonanie, że pomoc społeczna jest „dla patologii”, że jak się powie o problemach, to sąd zabierze dzieci. A bywa, że naprawdę wystarczyłoby kilka miesięcy pracy, by zażegnać kryzys. Rodzice czasem nie wiedzą, jak być rodzicami; to efekty dziedziczenia ubóstwa

Klientem pomocy społecznej jest rodzina. Ale zdarza się i tak, że dobro dziecka nie jest tożsame z dobrem rodziny.

emocjonalnego, kulturowego, społecznego. Trzeba z nimi pracować wcześniej, by jak najmniej dotknięte było dziecko.

Agnieszka Macyk zwraca uwagę na coś jeszcze: trzeba jak najwcześniej zająć się całą rodziną, a nie tylko rodzicami. – Dobrze, jeśli asystent pracuje nie tylko z dorosłymi członkami rodziny, ale modeluje właściwe

ich zachowania wobec dzieci i znajduje czas na rozmowy z nimi. Pokazuje, jak odrabiać z dzieckiem lekcje, bawić się z nim. To też trzeba rodzicom pokazać – i jak to działa na dziecko – opowiada. – Jeśli ono wie, że komuś na nim zależy, wtedy się też stara. Dzieci często czekają na spotkania z asystentem, bo to jest ktoś, kto je doceni, kto je pochwali. I na tym polega plan pracy z rodziną – w tym planie dziecko ma swoją rolę do wykonania.

W OPS-ie na warszawskiej Woli obok programów dla rodziców jest też psycholog dziecięcy, który pracuje z dziećmi głównie w celu „odbarczenia” z poczucia winy, wstydu za rodzinę, wzmocnienia własnej wartości.

—
POMOC TO DŁUGI PROCES, musi trwać, by przyniosła efekty. – Dla dziecka, które żyje w rodzinie z poważnymi problemami, spotkanie z psychologiem raz w tygodniu to za mało. Potrzebny jest system pomocy, który pozwala dziecku żyć w jego własnej rodzinie, ale ogranicza jej destrukcyjny wpływ na nie. Stąd koncepcja naszych świetlic – to w pewnym sensie zastępcze domy dla dzieci, ale tylko w takim wymiarze, w jakim jest to dzieciom potrzebne. Tam dostają to, czego brakuje im w domu, a co dostać w nim powinny – wyjaśnia Anna Gierałtowska z Powiślańskiej Fundacji Społecznej (PFS). – Domy tych dzieci są nieprzewidywalne, a one potrzebują bezpieczeństwa, muszą wiedzieć, czego się spodziewać po swoim otoczeniu. U nas spotykają życzliwych dorosłych, którzy je pytają, jak było w szkole, co słycać w domu. Nasi wychowawcy nie tylko odrabiają z nimi zadania domowe, ale chodzą też na wywiadówki, są w kontakcie z nauczycielami. Czasem uczą też dzieci podstawowych czynności: jak podcierać pupę, jak myć ręce przed jedzeniem. Robimy razem zakupy, przygotowujemy jedzenie, sprzątamy. Zastępujemy rodzica w funkcjach, których ten rodzic nie pełni. Wychowujemy dzieci, ale też tworzymy z nimi niezbędne do ich rozwoju relacje.

Do PFS trafiają dzieci od szóstego roku życia, wyjątkowo – na przykład gdy chodzi o rodzeństwo – zdarza się, że młodsze. To ważne, jak podkreśla Gierałtowska, by pracować z dzieckiem od najmłodszych lat. – Przed dziesiątym rokiem życia dziecko jest jeszcze otwarte, ufne. Potem się zamyka.

Z nastolatkiem jest już szalenie trudno nawiązać relację – mówi. Do świetlic dzieci przychodzą do piętnastego roku życia, ale indywidualną pomoc otrzymują aż do usamodzielnienia się i dorosłości. Wielu wychowanków utrzymuje kontakt z dawnymi opiekunami nawet po usamodzielnieniu się.

Świetlice prowadzone przez PFS wspierają dziecko, a równolegle trwa praca z jego rodzicami – fundacja zatrudnia również asystentów rodziny. Świetlice dają dziecku osłonę, by przetrwało ten czas, którego jego rodzice potrzebują, by stanąć na nogi.

Ważne, by rodzice otrzymywali z pomocy społecznej nie tylko świadczenia, ale by zobaczyli, co mogą w swojej rodzinie i w sobie zmienić.

– Kiedy organizowaliśmy w naszym ośrodku warsztaty, myślałam, że nie będzie zainteresowania. Tymczasem wręcz przeciwnie – ludzie chcieli na nie chodzić, cieszyli się, bo to znaczyło, że kogoś obchodzą. Kiedy długo żyje się w deprywacji, to samego siebie zaczyna się postrzegać jako nieważnego. A nagle okazuje się, że coś mogę, coś potrafię, ktoś docenia moje wysiłki. To bardzo ważne – mówi Olga. – Bardzo trudno sprawić by rodzice zmienili swoje życie, ale wspieramy ich. Łatwiej jednak przekonać ich, by poszli do pracy, niż nauczyć jak mogą lepiej zadbać o swoje dzieci – stwierdza Gierałtowska. Olga: – Kiedy pracujemy z rodziną, cały czas mamy nadzieję, że jeszcze coś warto zrobić. Bo to zawsze dylemat: piecza zastępcza czy wsparcie rodziny. Nie jest łatwo powiedzieć: „Koniec, więcej nie da się zrobić”. Dlatego staramy się wymyślać kolejne formy wsparcia, warsztaty dla rodziców.

Tu jednak pojawia się problem, bo kolejne szanse oferuje się rodzicom, a dziecko może mieć tylko nadzieję, że je wykorzystają. W ten sposób proces pomagania może odbywać się jego kosztem. Ale zabranie dziecka z rodziny jest i powinno być wyjściem ostatecznym, sądy nie podejmują szybko takich decyzji. Czy słusznie? Każdy z pracowników socjalnych czy z osób w fundacjach doświadczył sytuacji, gdy mimo wysiłków pomoc się nie dało i dla dzieci lepiej by było znaleźć się poza domem.

– W zasadzie z rodziną powinno się pracować lata, choć oczywiście to zależy od danej rodziny i rodzaju jej problemów. W rodzinach wieloprotymowych trzy lata

Kolejne szanse oferuje się rodzicom, a dziecko może mieć tylko nadzieję, że je wykorzystają. W ten sposób proces pomagania może odbywać się jego kosztem. Ale zabranie dziecka z rodziny jest i powinno być wyjściem ostatecznym.

to minimum – wyjaśnia Agnieszka Macyk. – Jeśli jednak przez te trzy lata nie zrobiły nic, to trzeba ten proces zakończyć.

—
W RAPORCIE Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę czytamy, że nadal najczęściej występującą dysfunkcją (spośród badanych) w rodzinie jest nadużywanie alkoholu (piętnaście procent). Co piąte z badanych dzieci z rodziny, w której rodzice się rozstali, powiedziało, że jedno z rodziców utrudnia mu kontakt z drugim. Dziewięć procent z badanych w wieku od trzynastu do siedemnastu lat znajduje się w sytuacji, gdy ktoś z domowników cierpi na depresję lub choruje psychicznie. Pięć procent stwierdziło, że ktoś w domu próbował popełnić samobójstwo (pytanie zadano osobom w wieku od piętnastu do siedemnastu lat).

Olga pracuje w tym samym ośrodku od ponad dwudziestu lat. W tym czasie wiele się zmieniło, również problemy, z którymi się mierzą. Kiedyś był to głównie alkoholizm, teraz ich priorytetem jest zwalczanie przemocy domowej. Inne „nowe” kwestie to bulimia, anoreksja, złe odżywianie. A także zaburzenia psychiczne rodziców. – Sytuacja dzieci osób psychicznie chorych jest bardzo trudna. One nie tylko zmagają się z zachowaniem rodziców, którego nie rozumieją, ale też często czują się winne. Rodzice mogą zapewnić im potrzeby biologiczne, ale innych już nie. A my bardzo często nie możemy skutecznie im pomóc – mówi.

Olga zwraca też uwagę, że jak kiedyś dziedziczono biedę, tak teraz dziedziczy się bezradność wychowawczą. Bezradni rodzice kiedyś byli zaniedbanymi dziećmi, których rodzice też nie poświęcali im uwagi. Tę bezradność, brak więzi z dziećmi, brak umiejętności porozmawiania z nimi zauważa się w ostatnim czasie zarówno w OPS-ach, jak i w organizacjach pozarządowych.

– Dzieci są teraz bardzo kruche. Mówiąc najprościej – nie mają ani poczucia bezpieczeństwa ani własnej wartości, ponieważ

nie została zawiązana pierwotna więź z rodzicami. – Lucyna Kicińska, koordynatorka Telefonu Zaufania dla Dzieci i Młodzieży z FDSS: – Dziecko wie tyle o świecie, ile mu powiemy, pokażemy. Jeśli nie nauczymy go mówienia o swoich problemach, powierzają nam, to one narastają, osaczają dziecko.

Ten brak zainteresowania dziećmi przekłada się na przykład na ich brak umiejętności higienicznych oraz zaniedbania kulturalne (nikt im nie czyta). – Rodzice cierpią na depresję, są bezradni. I dzieci z takich rodzin są po prostu bardzo niedojrzałe, bardzo nieufne wobec dorosłych. Często stosują agresję jako rozwiązanie swoich problemów, starając się w ten sposób przyciągnąć uwagę dorosłych – mówi Anna Gierałtowska.

Agnieszka Macyk w swojej pracy asystenta rodziny często widzi dzieci bez poczucia własnej wartości, obarczone opieką nad młodszym rodzeństwem. Takie dzieci nie są chwalone, nie słyszą na swój temat nic dobrego. Asystent jest tą osobą, która je zauważa, docenia.

Lucyna Kicińska: – Powiedzieć dziecku: „jesteś dla mnie ważne” nie zabiera dużo czasu. A jednak rodzice myślą, że potrzeba wyszukanych słów lub sądzą, że to oczywiste. Dla dziecka nie jest. – I dodaje: – Nie jesteśmy niewolnikami. Możemy przecież żyć tak, by mieć czas na rozmowę z dzieckiem. Dzieci nie mają z kim porozmawiać o tym, co je gnębi, lub nie chcą mówić nic rodzicom, by ich nie martwić.

Czasem dziecko tak długo odpowiada rodzicom, że nic się nie dzieje, że w końcu nie może się przełamać i poprosić ich o pomoc. W Telefonie Zaufania możemy rozbroić ten psychologiczny opór dziecka i pokazać, że ten rodzic jest na wyciągnięcie ręki. O ile oczywiście to nie on jest sprawcą przemocy.

Do tej pory w ciągu dziesięciu lat na Telefon Zaufania (numer 116 111) zadzwoniło milion dwieście tysięcy dzieci – czasem by porozmawiać o konflikcie z rówieśnikami, czasem by powiedzieć, że myślą o samobójstwie.